

Jacek Pałkiewicz: Ostatni raj

Magiczna wyspa nie jest miejscem, to stan umysłu. Zawsze będzie taka, jaką człowiek będzie chciał widzieć – konstatuje utytułowany podróżnik Jacek Pałkiewicz



Podróż

Wszystko zaczęło się od Kuty, mekki australijskich surferów. Z raju hipisów lat 60. ub. wieku, Bali, jeden wielki wakacyjny resort, w bardzo krótkim czasie przemieniła się w metę masowej turystyki. Prawdziwy boom przyjazdowy nastąpił w latach 70., kiedy na wyspie dokonano poważnych poczynań budowlanych, infrastrukturalnych i społecznych. Polepszył się stan dróg, edukacji, służby zdrowia i telekomunikacji. Jak grzyby po deszczu wyrastały hotele. Dzięki temu wyspa była gotowa otworzyć podwoje dla mrowia wczasowiczów.

A potencjał był wyjątkowo szeroki: całoroczny relaks pod palmami, sfera religijna, cuda natury, egzotyczne święta, dzieła sztuki, drugie, za Hawajami, najlepsze miejsce na świecie do surfowania, tradycyjne rękodzieło, ekskluzywne lokale dla miłośników nocnego życia i wreszcie gościnnie kultura Indonezji.

Jedynie 30 kilometrów oddziela popularną wśród hipsterów miejscowość Canggu z jej wulkaniczną Echo Beach, od białej plaży Geger w Nusa Dua. I to tylko na tej przestrzeni, w Seminyak, Legian, Kuta, koncentruje się

największy ruch przyjezdnych poszukujących morza, słońca i relaksu.

Centra rozrywkowe

Kurorty, różnią się między sobą. Kuta, epicentrum nocnego życia, określana nieraz jako swego rodzaju „Ibiza Orientu”, przerodziła się w koncentrat cementu, architektonicznego nieładu, tanich hoteli, modnych dyskotek, kiczowatych suvenirów, sprzedawców ulicznych, naganiaczy reklamowych, niepohamowanego plażowego hedonizmu. A pomyśleć, że kiedy w 1974 roku byłem tu po raz pierwszy, przy tutejszej plaży wyrastały pierwsze spartańskie hotele, a w pobliskim Sanur dopiero co pojawił się pięciogwiazdkowy resort. Legian, o gwiazdkę lepszy od Kuty, przyciąga młodych ludzi z niewielkim budżetem, cieszy się powodzeniem Australijczyków, konsumujących litrami Bintang, lokalne piwo.

Seminyak jest najbardziej elegancki i modny, wypełniony starannie zaprojektowanymi rezydencjami, które wtapiają się w otoczenie, oraz nocnymi klubami o atrakcyjnym wystroju, gdzie miejscowe dziewczyny polują na kandydatów na męża. Największy ruch jest w legendarnej, wyróżniającej się wśród innych dyskotek - La Favela, gdzie można liczyć na nieokiełznaną zabawę do rana. Tutejsze wille, uważane za jedne z najatrakcyjniejszych na świecie, często można oglądać na stronicach magazynów dedykowanych architek-

turze. Seminyak cieszy powodzeniem Europejczyków, lepiej sytuowanych Australijczyków i elit Dżakarty. Zaś Nusa Dua to zagłębie, docenianych przez nowożeńców w podróży poślubnej, pięciogwiazdkowych hoteli, wyróżniających się swoim wnętrzem i niepowtarzalną architekturą. Sanur wyróżnia się wyciszeniem, stąd cieszy się powodzeniem u osób w podeszłym wieku. Chociaż nie brak tu i lokali z prostytutkami, głównie dla indonezyjskiej klienteli. Tu też koncentruje się horda Chińczyków. Natomiast Canggu wyrasta na nową Kutę, z przyjazną atmosferą i niższymi cenami.

Wszystkie te kurorty nastawione na bezstresowy wypoczynek i dobrą zabawę, są królestwem rozrywkowych panienek. Dzięki randkowej aplikacji Tinder, umożliwiającej zawieranie nowych znajomości, w ciągu kwadransa można się umówić na spotkanie towarzyskie, na wypicie kawy czy drinka, albo na szybki seks. „Każdego wieczoru coś się tu dzieje, jakieś wydarzenie, tematyczna impreza, muzyka w dyskotekach z najlepszymi lokalnymi i międzynarodowymi DJ-ami”, podkreśla Jarek, który po raz drugi przyjechał tutaj z Suwałk. Kurorty stanowią koncentrację tego co można znaleźć na Ibizie, Formenterze, lub na Rodos, czyli wyszukane hotele, salony SPA, stylowe restauracje, eleganckie butik, markety, gustowne wille, modne nocne lokale.

Konsumpcyjne, mega turystyczne południowe wybrzeże, niewiele ma wspólnego z faktycznym wizerunkiem Bali. Zatłoczone i hałaśliwe letniska, pozbawione są duchowości i mistycyzmu, z którego jest ona znana na całym świecie. Prawdziwa Bali to interior wyspy, gdzie harmonijnie współlegzystują bogowie i demony, przodkowie i dzisiejsi mieszkańcy. Gdzie emanuje błogi spokój i bezstreska egzystencja przy jednoczesnym oddaniu się pracy oraz tradycjom kulturowym i religijnym. Poprzez obrzędy i barwne hinduistyczne ceremonie, odbija się filozofia szczęścia Balijszczyków, polegająca na zrównoważonej relacji człowieka z Najwyższą



Tancerka z tradycyjnego spektaklu legong

Istotą, z naturą, oraz między ludźmi.

Wraz z rozpowszechnieniem się na przełomie XV i XVI wieku islamu na archipelagu indonezyjskim, upadło potężne Królestwo Majapahit i znaczna część arystokracji jawajskiej znalazła azyl na niezależnej politycznie Bali, dodatkowo wpływając na sztukę, literaturę i religię. Narodziło się centrum bogatej, oryginalnej kultury, cechującej się urozmaiconą ornamentyką, powielaną w malarstwie, na tkaninach, w rzeźbie w kamieniu, w drewnie, czy w batikach.

Podczas II wojny światowej należącej do Holenderskich Indii Wschodnich archipelag indonezyjski, był okupowany przez Japończyków. W 1945 roku Sukarno proklamował

niepodległość kraju, a w 20 lat później, w następstwie przypisanemu partii komunistycznej, nieudanemu zamachowi stanu w Dżakarcie, szwadrony śmierci pod przewodnictwem generała Suharto, mordowały we wszystkich regionach kraju, członków i sympatyków Komunistycznej Partii Indonezji. Według nieoficjalnych danych zginęło wtedy około pół miliona ludzi, w tym co najmniej 80 tysięcy Balijszczyków.

Rytuały i święta religijne

Fakt ten zbulwersował społeczeństwo zachodnie. Obraz Holandii, dobrotliwej i odpowiedzialnej potęgi kolonialnej został zakłócony. Do tego stopnia, że rząd w Hadze, w zadośćuczynieniu postanowił przywrócić „etyczną politykę”, skierowaną

na „Baliseering”, czyli balinizację wyspy. Innymi słowy, chodziło o rozbudzenie kulturowe, stworzenie żywego parku etnograficznego, pielęgnowanego w większym stopniu obyczajowości, język, rzemiosło, religię, czyli nauczyć wspierać być jak najbardziej autentycznymi. W zamyśle chciano też utrzymać „spokój i ład”, mający nie dopuścić do zmniejszenia dominacji kolonialnej.

W 1930 roku na indonezyjskiej wyspie wylądowało małżeństwo antropologów, Margaret Mead i Gregory Bateson, z zamiarem udokumentowania duchowego i artystycznego życia mieszkańców. Miejscowi, nie bez uszczypliwości, widzieli w nich nostalgicznych imigrantów, którzy odnaleźli tutaj swój



XVII-wieczna świątynia hinduistyczna Pura Ulun Danu Bratan

na ponadczasowej Bali

Eden. Brytyjczycy zachwyceni zjawiskową, trochę abstrakcyjną panoramą, pokazali światu wizję egzotycznej, ponadczasowej wyspy, różniące się krańcowo od wszystkich innych w indonezyjskim archipelagu. Z czasem, analiza niepowtarzalnego egzotyizmu, nie naruszonej tradycji kulturowej, uzupełniona o spokój ducha, kuszące tancerki, czy wyeksponowanie seksualności wyspiarzy, pozwoliła stworzyć romantyczną panoramę „Ostatniego raję na ziemi”.

Lawrence Osborne w książce „Nagi turysta” nazywa wyspę „Disneylandem Hindu” i wyjaśnia w jaki sposób obraz „magicznej Bali”, perły niegdyśszego jawajskiego hinduizmu, przetrwał próbę czasu. Oparł się islamizacji, ale także i sztucznemu nowatorstwu wykreowanego w I połowie XX wieku przez artystów i antropologów europejskich oraz amerykańskich, dostosowanemu do miejscowej kultury. Wśród nich wyróżnił się niemiecki malarz, kompozytor, muzykolog Walter Spies, balijski Gauguin. To jemu przypisuje się szczególnie wkład w przeobrażenie tutejszej kultury na bardziej apetyczną dla turystów. Na potrzeby swojego filmu stworzył on spektakl Kecak czyli „Taniec małpy”, dzisiaj widowiskowa wizytówka każdego programu turystycznego. Spies pomógł Balijszczykom przedstawić rytuał na przedstawienie, uzupełniając je różnymi historiami zaczerpniętymi z indonezyjskiej mitologii, tak aby widowisko bardziej przybliżyć dla zachodniego obserwatora. Sugerowały, zapadających w pamięć pokaz w którym stu mężczyzn z gołym torsem, bez przerwy, niczym w głębokim transie, skanduje falującym głosem kecak, kecak..., nawiązujący do hinduskiej legendy Ramayany, zrozumiałem tylko dzięki broszurze informacyjnej rozdawanej przed rozpoczęciem show.

Do współczesnego wyobrażenia o idyllicznej Bali, oraz wypromowania obrazu „ostatniego raję na ziemi”, przyczyniła się specyficzna bohemna artystyczna: Clifford Geertz, Gregor Krause, Miguel Covarrubias Vicki Baum, Jane Belo, Colin McPhee, Rudolf Bonnet, Beryl De Zoete, André Roosevelt i jeszcze dwa dziesiątki innych, którzy już tylko powielali wizerunek Bali przyczyniając się do jej dalszej promocji. Znamy ich historię, chociaż, jak mówi z pewnym rozczarowaniem właściciel Aexs Gallery

w Ubud „ich obecność nie zachowała się w pamięci miejscowej ludności”.

Powiedzmy sobie szczerze, kompilacjami na użytek raczkującej turystyki, przedobrzył nie tylko Spies. Także publikacja Gregora Krause, ze zdjęciami kąpiących się w rzece nagich dziewcząt i młodzieńców, czy kobiet z odkrytą piersią, nadinterpretowała erotyczną stronę Bali, przyczyniając się do uskrzydlenia zainteresowania wyspą. Nieprawości nie uniknął też meksykański malarz Covarrubias, który dla podniesienia atrakcyjności książki i większego rozgłosu skupił się na niektórych, bardziej przyciągających oko, tematach. Spekulowali i inni przedstawiając w książkach ukierunkowane przesłania dla przykucia większej uwagi. Można śmiało stwierdzić, że zauroczeni barwnością balijskiej kultury, antropologowie nie zawsze właściwie ją interpretowali. Ich relacje, nie rzadko przesiąknięte na wyrost krainą szczęśliwości, rozbudzały wyobraźnię Europejczyków i stanowiły zaproszenie do jej odwiedzenia. Co ciekawe, stworzony w tamtym okresie, wyidealizowany, pocztówkowy wizerunek Bali, przewija się często po dzień dzisiejszy.

Premier Indii Pandith Nerhu, po swojej wizycie na Bali, nie skrywał podziwu i zauważył, że jest to „istny poranek świata”. Zaś dla Charlie Chaplina, który był tutaj w 1932 roku i zachwycał się bujną, dziewiczą przyrodą, ta świątynia turystyki, była „czarem pełnym poezji”.

Wyspa, na której Mick Jagger wziął ślub z Jerry Hall według hinduistycznego obrządku, ma wciąż przesiąknięte odwiecznymi tradycjami, mocno bijące serce.

Kulturowe oblicze wyspy wyznacza potężny, dominujący w krajobrazie wulkan Agung, według lokalnych wierzeń siedziba bóstw. To oni mogą wywołać jego erupcję, aby ukarać mieszkańców za brak należytego respektu lub inne przewinienia. Balijszczyki uważają też, że darem bogów są powstałe w wyniku kataklizmu urodzajne i żyzne gleby, które zapewniają im obfite plony. Stąd procesje mające wyrazić wdzięczność, w których odświętnie odziani mieszkańcy, z estymą, przy dźwiękach perkusyjnych instrumentów, niosą bogato ozdobiony tron. Jest on wprawdzie pusty, ale wierni głęboko wierzą w obecność jednego z bogów, niewidocz-

nego dla śmiertelników, któremu składają w ofierze różne podarki.

Bali jest jedyną ostoją hinduizmu w muzułmańskiej Indonezji. Tutejsza forma kultury hinduskiego przyswoiła wiele wpływów buddyjskich i szeroko odbija się w życiu codziennym i publicznym, wpływając na lokalne obyczaje

Pierzaści wojownicy dziobią i drapią na oślepie wlatują w powietrze, by z góry zaskoczyć przeciwnika i ugodzić go dziobem

i obrzędy. Miejscowi poświęcają wiele czasu na wydarzenia religijne, niemal każdego dnia celebrując różne święta. Duchowość jest tu wprost dotykana, gdziekolwiek by człowiek się nie znalazł. Co krok ołtarzyki i kapliczki na ulicach, na skrzyżowaniu dróg, na prywatnych posesjach, na polu ryżowym. Wszędzie. Są także świątynie. Tysiące majestatycznych świątyń. W dzień po pełni księżyca, intensyfikują się oferty i rytuały. Doświadczają tego cała wyspa, ponieważ uważa się, że każdy pozytywny gest wykonany w tym dniu, zostanie nasilony stukrotnie. Każdego poranka kobiety wystrojone w sarong, ze świeżymi kwiatami we włosach, wystawiają w hołdzie do

brym duchom canang sari, charakterystyczne ofiary - koszyczki z plecionych liści palmowych w których znajdują się oferty, ziarenka ryżu, kwiaty, monety, herbatniki, a nawet papierosy czy kawa. Potem zapalając kadzidło, które rozwiewa łagodny zapach frangipani, wypowiadają cicho krótką modlitwę. To okazywana przodkom estyma, oraz obłaskawianie demonów i ubieganie się o przychylność bóstw opiekuńczych.

Walczące koguty

Publiczność śmieje się, pokrzykuje, pali papierosy. Arena nosi plamy krwi, nad którymi wzbijają się kłęby kurzu i latają pióra. Szeroko niegdyś praktykowana na Bali walka kogutów została w Indonezji zakazana prawie 30 lat temu, ale można się na nią jeszcze natknąć z dala od miejsc publicznych. Wciąż pozostaje elementem różnych rytuałów religijnych, chociaż w większości przypadków duchowość została prawie całkowicie wyparta przez hazard będący źródłem nielegalnych dochodów. Organizowane są dla fanatyków ryzyka, tym razem może już nie tych, którzy tak jak dawniej przegrywali czy wygrywali całe majątki. „Dzisiaj gra się o mniejsze pieniądze, - zapewnia Ardian Syaf, który hoduje kilkanaście walecznych kogutów. - To fakt, że walka kogutów jest nielegalna, ale od czego są zaprzyjaźnieni policjanci?”. Syaf dba o odpowiednią dla nich dietę

i przez rok trenuje, aby były zaczerpne, wytrzymałe i silne.

To on zaprosił mnie na obejrzenie ptasiego boju na śmierć i życie. Właściciele kogutów, po wyjęciu ich z ciasnych wiklinowych klatek, przymocowują do łapki-ostrogi śmiercionośną broń - długi, piekielnie ostry skalpel. Po chwili z dumą prezentują swoich podopiecznych, pewnych siebie, o charakterystycznym pionowej postawie oraz silnym i muskularnym tułowiu, których pozbyto piór z nóg i części tułowia. Publiczność zdecydowanie się ożywia i przekrzykując się zaczyna obstawiać zakłady w licytacjach, pięćdziesiąt, sto tysięcy rupii, czyli nieco poniżej dziesięciu euro. Opiekunowie troskliwie przytulają swoich pupilów, masują im grzbiet i łapki, po czym rozdrażniają by wyzwolić agresję. Szarpią pióra na karku, naciągają szyję, uderzają w głowę, wreszcie dmuchają im w dziób.

Bitwa zaczyna się przy akompaniamencie niemiłośiernej wrzawy. Wzburzeni do granic możliwości pierzaści wojownicy dziobią i drapią na oślepie wlatują w powietrze, by z góry zaskoczyć przeciwnika i ugodzić go dziobem, albo zadać śmiertelny cios długim ostrzem. Krzyki zebranych ludzi podsycają napięcie, emocje rosną, bo można jeszcze licytować. Po chwili na piasku pojawiają się pierwsze krople krwi. Ludzie wiwatują. Pojedynek trwa kilka minut, przegrany drga konwulsyjnie w agonii, bryzgając wokół krwią. Zwy-

cięzca trafia do klatki na pewien czas rekonwalescencji, a martwy wylądowuje w kuchni pobliskiej restauracji. Jego właściciel pograżony jest w smutku, bo to był nie tyle kogut, co członek rodziny. Szczęściarze kasują swoje wygrane, pozostali próbują ponownie, bo dramatyczny spektakl zaczyna się od nowa.

Alfred Russel Wallace, który wraz z Darwinem opracował teorię ewolucji, ustanowił wyimaginowaną biologiczno-naturalistyczną linię, która oddziela Oceanię od Azji i ona właśnie przecina Bali. I faktycznie, jeśli się lepiej przyjrzeć, to wyspa rzeczywiście przypomina trochę Indie i nieco Polinezję. Balijskie aromaty i zapachy kojarzą się często z wonią Indii, ale są słodsze i łagodniejsze, to znaczy, że są bardziej przystępne i wyciszające.

Ubud, centrum kultury i pogody ducha

Obecna fama Ubudu, artystycznego serca wyspy, miejsca, które odzwierciedla cały jej mistycyzm, wiąże się z przybyciem tutaj w 1929 roku dwóch malarzy, wyżej wspomnianego już Waltera Spiesa i Holendra Rudolfa Bonneta. Wraz z indonezyjskim artystą Gede Agung Sukawati stworzyli grupę Pita Maha, która zachęcała miejscowych artystów do rozwijania i prezentowania przybyłym sztuki lokalnej w sposób bardziej przystępny. Stworzyła, na przykład, nowy styl łączący

dokończenie na str. 26



Wzbudające zachwyt pole ryżowe - wizytówka Bali

dokończenie na str. 25

malarstwo prymitywistów z balijskim.

Od tego czasu Ubud stał się sercem nowych prądów artystycznych, wynikających z połączenia zachodniej kreatywności ze wschodnią wyjątkowością. To tutaj znajduje się największa ilość galerii sztuki, atelier i pracowni. Podczas gdy reszta wyspy pozostaje w wielowiekowych strukturach, gdzie każde miasto specjalizuje się w produkcji czegoś, mebli, kutego żelaza, tradycyjnych rzeźb w kamieniu i drewnie, czy w tkaninach, Ubud wyróżnia się kreatywnością na styku twórczych umysłów przynajmniej trzech cywilizacji: hinduskiej, zachodniej i nawet islamskiej.

W lokalnym języku trudno jest znaleźć słowo, które oznaczałoby sztukę, ponieważ na Bali wszystko jest sztuką. Zwłaszcza w przesiąkniętym lokalną i zachodnią kulturą, otoczonym tropikalnym lasem oraz polami ryżowymi Ubudzie. Tu spotykali się wieczorem wieszniacy, by malować swoje marzenia. Na początku lat 30. pojawił się tutaj Colin McPhee, kompozytor i muzyk kanadyjskiego pochodzenia, który z jednego z pierwszych gramofonów, przypadkowo usłyszał na Manhattanie muzykę gamelon. Zrobiła ona nim tak silne wrażenie, że w kilka miesięcy później wsiadł na statek płynący do Indonezji, by ją poznać. W efekcie jego pobytu powstała powieść „Dom na Bali”, która przyczyniła się do skonsolidowania mitu zaginionego i jednocześnie odnalezionego raju, zrodzonego przez międzynarodową grupę artystów i intelektualistów, którzy łudząc się ucieczką od toksyny współczesnej cywilizacji i wojennych wiatrów, zdecydowali się na założenie w Ubud swojego domu.

Ulice miasteczka zapełnione są świątyniami i często nie wiadomo, gdzie kończy się jedna i zaczyna druga. Domy otoczone są posągami bóstw, a w wąskich uliczkach przyciągają uwagę ozdobne bramy i okna. Robi wrażenie nieskończona liczba warsztatów artystycznych. Wystarczy przekroczyć próg jakiegoś domu, wyglądającego niemal jak mała uroczą hinduska świątynia, aby natknąć się na rzemieślników i artystów, którzy rzeźbią, malują, modelują figury. W konsekwencji, galerie i sklepy z ich dorobkiem ciągną się bez końca. Dodajmy, że dzieła tutaj wyprodukowane mają wartość kolekcjonerską i mają notowania w Londynie czy Nowym Jorku. W tym płótna hiszpańskiego surrealisty Antonio Blanco, który w swoim ekscentrycznym domu, pracowni-muzeum, w stylu architektury balijskiej połączonej z hiszpańskim rokoko, stworzył cieszącą się popularnością szkołę artystyczną. W mieście jest



Surrealistyczna sceneria w Seminyak

tłoczno, wśród turystów nie brak amatorów kursów jogi, podstarzałych hippisów czy wznawców New Age.

Daleko od pełnej zgiełku Kuty, łatwo jest tu o wyciszenie i relaks. Niestety, można też trafić na porażającą niespodziankę. Po wyjściu z majestatem wznoszącej się wśród kwiatów lotosu Saraswati Temple, niewątpliwie najciekawszego miejsca kultu, przysiadam w sąsiadującym z nim Lotos Cafe by zrelaksować się pijąc orzeźwiający koktajl i nacieszyć jeszcze oczy zspaniałym historycznym zabytkiem. Z przyjemnością odnotowuję rekomendację przy wejściu do restauracji „U nas nie ma wi-fi. Korzystajcie z okazji, aby porozmawiać między sobą”. Nie do wszystkich dotarło to przesłanie, bo siedząca obok mnie młoda para Chińczyków, przez cały czas zajęta była swoimi smartfonami. Po zmierzchu, z dużą przyjemnością obejrzałem na tle Saraswati tradycyjny legong, „niebiański taniec boskich lilii wodnych”, szczyt feminizmu i wdzięku, wykonany przez kobiety w niewiarygodnie kolorowych kostiumach. Pochłonięta mnie balijska sakralność, jakby na potwierdzenie, że sfera religijna, która przyciąga z całego świata ludzi spragnionych duchowej głębi, jeszcze nie została zduszona przez zachodnie standardy. Srogo zawiodłem się, bo zaraz po wyjściu z lokalu natknąłem się na Starbucks, negatywny symbol drapieźnej globalizacji.

Negatywne aspekty?

Zachodzące słońce odbija się w lustrze wody zalewającej oszalałymi tarasami ryżowe, o intensywnym odcieniu zieleni, pomiędzy którymi rosną palmy, papaje i bananowce. To wizytówka Bali, jedna z najpopularniejszych scenarii wyspy. Misterna konstrukcja opadająca kaskadowo w dół doliny, jest tak dobrze utworzona, że geometryczna doskonałość

staje się eleganckim wzorem, idealnie pasującym do otaczającego wegetatywnego krajobrazu. Spotyka się je na każdym kroku, ale najbardziej imponujące, wpisane kilka lat temu na listę dziedzictwa UNESCO, znajdują się w Jatiluwih.

Właśnie podjechały trzy autokary z Chińczykami, którzy w pół dnia zaliczają to na co normalni turyści poświęcają trzy dni. Wszystko i za jednym zamachem, zdjęcia grupowe, selfie - przydadzą się aby zaistnieć na Instagramie. Tym razem się nie powiodło, bo ściana monsunowego deszczu nie pozwoliła wysunąć nosa z autobusu. Scenariusz peregrynacji jest bezduszny, za chwilę objazdowa wycieczka odjeżdża w kierunku następnej atrakcji.

„Chińczycy są najliczniejszą nacją odwiedzającą wyspę, na 6 milionów zagranicznych turystów w ubiegłym roku, 1,8 miliona przybyło właśnie z Kraju Środka”, informuje Wayan Sukumaran z Bali Tourism Board. Dobra strategia promocyjna, wsparta licznymi kampaniami reklamowymi, stworzyła markę Bali przyciągającą nowe pokolenie chińskich konsumentów, dla których ta destynacja stała się status symbolem. Podróżują w zorganizowanych grupach wycieczkowych bo to sposób na pokonanie barier językowych. Czeka tu na nich ogromne kombinaty hotelowe, wokół których rozkręcił się gigantyczny biznes: sklepy z pamiątkami i odzieżą, restauracje, przewodnicy, tłumacze, animatorzy czasu wolnego czy szkółki surfingowe, gdzie bardziej chodzi o zrobienie pamiątkowej fotki niż realny kontakt z oceaniczną falą. Do tej rzeszy wycieczkowiczów dołączają niezliczone zastępy młodych ludzi przybyłych na jednodniową „przedślubną” sesję fotograficzną, nieodzowny w Chinach element zawierania związku małżeńskiego. Jedni robią to na tle tarasów ryżo-

wych, a inni na plaży podczas zjawiskowego zachodu słońca. Ekskluzywnym seansom towarzyszy sztab ludzi: fotograf, jego pomocnik, stylistka, makijażystka, fryzjerka, ktoś od światła i oczywiście reżyser, który aranżuje słodko-cukierkowe scenki w azjatyckiej stylizacji. Zaważywszy, że w Państwie Środka w ub. roku obydło się 14 milionów uroczystości ślubnych, agencje organizujące takie przedsięwzięcia nie mogą narzekać na brak zamówień.

„Negatywne aspekty życia na Bali”? powtarza moje pytanie Augusto Amici - „bule”, jak miejscowi wżgardliwie nazywają zamieszkałych na wyspie 50 tysięcy Europejczyków. „Życie tutaj, z pewnością ma swoje zalety. Jest zdecydowanie tańsze, ponadto Trip Advisor dwa lata temu ocenił wyspę jako najlepszą destynację turystyczną na świecie. Ale pamiętaj, że jesteśmy w kraju Trzeciego świata, gdzie wokół szaleje korupcja, turystów po-

Na łamach „Jakarta Times” lekarza niepokoi fakt, że na Bali dostrzega się choroby cywilizacyjne, cukrzyce, nadciśnienie, depresję

strzeżę się jako ruchome bankomaty, a opieka zdrowotna jest na niskim poziomie. W porze deszczowej, kiedy ocean wyrzuca na brzeg różne paskudztwa, plaże przypominają śmieciisko, którego nie zawsze nadążają oczyścić. Na drogach jest wyjątkowo tłocznie, codziennie stoimy w niekończących się korkach. To stresuje”.

Swego czasu ktoś zarzucił mi, że magię wyspy marzeń buduję na wspomnieniach. Przez dziesiątki lat podróżowania po świecie poznałem w ostatniej chwili poznać żywe świade-

ctwo wielkości minionych kultur, gdzie upływający czas odcisnął dzisiaj niszczące piętno i wyznam, że nie straciłem serca do Bali. Zachwyca mnie, tak jak niegdyś urzekała innych podróżników. Oczywiście, globalizacja, komercja i przemysł turystyczny, wyjąłwiają tradycyjną kulturę. Nie zapomniano tutaj milion przyjezdnych, dzisiaj jest ich sześć razy więcej, więc taki potop musiał się odbić na życiu wyspy.

Widać to po jej mieszkańcach, którzy przy zwiększonym tempie postępu, przy nieustannej rozbudowie obszarów miejskich, asymilują zdobycze cywilizacyjne, w tym niezdrowy styl życia i złe nawyki żywieniowe. Reklamy telewizyjne szkodliwych produktów przyciągają do fast foodów, napojów energetyzujących, chipsów, batoników, czy przysmaków z marketów naszpikowanych konserwantami, barwnikami i różnymi sztucznymi substancjami. W efekcie na ulicy pojawiają się już osoby otyłe, a także dzieci rodzące się z nadwagą. A tak nigdy nie było. Na łamach „Jakarta Times” lekarza niepokoi fakt, że na Bali powoli dostrzega się choroby cywilizacyjne, cukrzyce, nadciśnienie, czy depresję. Młodej stopniowo przyswajają zachodni styl życia, zamiast biegać za piłką, siedzi przy komputerze i nie może żyć bez komórki. Menadżer Cafe Bali, gdzie często bywam na śniadaniu, był zszokowany, kiedy na uroczystym nabożeństwie w świątyni jego dwunastoletnia córka cichcem pisała SMS do swojej koleżanki. Zaobserwowałem, że coraz częściej kobiety składają nie trzy, a tylko raz czy dwa razy dziennie ofiary bóstwom. Ponadto, w większości przypadków nie wykonują ich same, oszczędzają na czasie kupując na bazarze gotowe koszyki, co nie potwierdza jeszcze faktu, że religia przegrywa z konsumpcjonizmem i nie świadczy, że święta religijne straciły na kolorycie.

„Atmosfera dawnych czasów” Nie podzielam krytyk, że brudno, że oszukują, że Bali jest zadeptywana, że kultowe plaże straciły swój urok, albo że sprzedawcy uliczni w Ubud są dokuczliwi. W rzeczywistości brud mieści się w normie azjatyckiej, naciągacze funkcjonują wszędzie, chyba, że pojedzie się do Bhutanu. A plaże? One tutaj nigdy nie należały do zbyt atrakcyjnych. Zaś „ofiary” natrętności w Ubud nigdy nie miały do czynienia z arabskimi geszefciarzami. Odczucia są subiektywne, ile ludzi, tyle opinii. Wszystko staje się kwestią gustu i Bali zawsze będzie taka jaką człowiek będzie chciał widzieć i zapamiętać. Aby zamknąć temat, przypomnę to co często

Atmosfera dawnych czasów

powtarzam: wszechobecna turystyka przemieniła naszą planetę w jedną gigantyczną globalną wioskę. Gdziekolwiek człowiek się ruszy, w gardle czuje gorycz. Bogactwo lokalnej kultury redukuje się do stereotypów. Wczorajsze egzotyczne tradycje stały się komercyjnym, folklorystycznym skansenem, zapewniającym iluzję realiów. O tym wszystkim trzeba pamiętać, kiedy przyjeżdża się na Bali. Wówczas będzie łatwiej docenić fakt, że wyspa, jako jedno z nielicznych przeżartych najeżeniem turystów miejsc na świecie, potrafiła w znaczącej mierze zachować atmosferę dawnych dni. Nawet jeśli nie spotyka się już symbolu wyspy- kobiet przepasanych wyjątkowo sarongiem w biodrach, tak jak widywałem je 46 lata temu, za to jestem pod wrażeniem spotykanej na każdym kroku niezwykłej, utartej życzliwości, ukraszanej ujmującym, wyniesionym od kołyski uśmiechem. Takich ludzi pamiętam z dawnych czasów i nieraz myślę, jaka to przepaść dzieli ich od mieszkańców znad Wisły, szczególnie zatrudnionych w sektorze publicznym i usług handlowych.

W moich podróżach widywałem różne bajeczne obrazy kończące się dnia, ale spektakl zachodu słońca na Bali przebija chyba wszystkie inne. Nie sposób więc o nim nie napomknąć. Jest wydarzeniem niezwykłym, jego widok potrafi poruszyć nawet tych, którzy niejedno już przeżyli. Niebo eksploduje wszystkimi odcieniami czerwieni ofiarując prawie surrealistyczną scenę - wielka ognista kula, niczym urokliwy chiński lampion zanurza się w głąb oceanu. Urokliwość zachodu słońca polega na tym, że zawsze jest ono nieco inne. Jego barwy zależą od rozproszenia, załamania światła w atmosferze, jej gęstości oraz wszelkiego rodzaju związków chemicznych w powietrzu. Spektakl spektaklowi nie równy. Nie jestem romantykiem, ale czy może być coś bardziej zachwycającego na wakacjach, niż drink Rockatonic na ciepłym piasku tropików, przy delikatnym przyboju oceanu, powiewie świeżej bryzy i subtelnym szumie liści palmowych, wszystko to okraszone arcy-malowniczym zakończeniem dnia.

Bali leżąca w pewnym sensie na styku Wschodu i Zachodu, co najmniej od dwóch lub trzech stuleci jest dla nas Europejczyków obietnicą autentyczności i reprezentuje ideę zinstytucjonalizowanego i unaocznionego egzotyizmu kolonialnego, kulturowego oraz estetycznego. Nic dziwnego, że magia tego miejsca wciąż czaruje i pozostawia ślad w duszy, tak podróżnika przeszłych czasów jak i dzisiejszego turysty.